



Kryminał z myszką

76

Dzieci milio- nerów

Anna

Kłodzińska

Anna Kłodzińska

DZIECI MILIONERÓW

Kryminał z myszką – Tom 76

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-10-5

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1982, seria „Labirynt”

Prolog

Za zakrętem droga rozwidlała się, były to już dwie drogi, jakby uciekające od siebie w dwie przeciwne strony – na północ i na południe, ta z prawej nieco szersza, obsadzona po bokach młodymi drzewami.

Ryszard zwolnił i zawahał się. Właściwie było mu wszystko jedno, dokąd pojedzie. Wziął delegację „w teren”, pasjonował go temat, obojętnie, gdzie by się znajdował, a tematem byli przede wszystkim ludzie. Wciąż nowi, nieznani, pociągający tą nowością i odrobiną tajemniczości, która zresztą najczęściej zniknęła po bliższym poznaniu, czasem po pierwszej rozmowie. Zastanawiał się nieraz, jak łatwo ludzie wywnętrzają się przed obcym. Kiedyś bał się tego „włazenia z kaloszami do duszy”, jak to nazywał, bał się, że nie będą chcieli rozmawiać, że w ogóle nie otworzą mu drzwi. Potem przekonał się, że dość łatwo otwierali siebie.

Może więc szukali zrozumienia u człowieka, który się nimi interesował i słuchał uważnie, co mu opowiadają? Nie zawsze ma się takich słuchaczy na co dzień. Często chcieli przy jego pomocy załatwić własne sprawy, kłopoty, nawet dramaty osobiste. Być może chcieli też, aby o nich napisał w swojej gazecie.

Ludzie byli wszędzie, obojętnie, którą drogą pojedzie. Skręcił w prawo, bo coś w końcu trzeba było wybrać. Po kilkunastu kilometrach zaczął się las, zielony już o tej porze roku, mokry po niedawnych deszczach, pachnący świeżą trawą. Nie chciał zaglądać do mapy, wydawało mu się, że gdzieś niedaleko powinno być jezioro, może zresztą wcale go tu nie było, mniejsza o to. Poczuł głód. Spojrzał na zegarek. Sześć po dwunastej, południe, pora na zjedzenie czegoś tam, co miał w samochodzie.

Zatrzymał się z boku drogi, wysiadł i rozprostował kości. Cieszyła go wiosna, nadchodzące ciepło i perspektywa letniego urlopu. Zima zawsze zostawiała po sobie jakiś osad znużenia, nie tylko fizycznego. Rozpakował paczkę z kanapkami, kawa w termosie była gorąca. Usiadł na wysuszonym w słońcu i odartym z kory pniaku, jadł, rozglądał się po lesie i rozkoszował ciszą.

Jechał później wolno, paląc papierosa, zaintrygowany tą drogą, która mogła go zaprowadzić do bardzo dobrego „tematu”; czuł przez skórę, że potrafi o każdym spotkanym człowieku napisać ciekawy reportaż. Właściwie o każdym można by napisać książkę.

Nagle droga i las urwały się. Przed Ryszardem, nieco w dole, leżało ogromne jezioro, z boku ciągnęła się wioska. Najprościej było do niej dojechać na przełaj, przez błotniste ugory, kiedyś chyba pastwisko, teraz poprzerzynane głębokimi koleinami ze śladami gumowych opon. Zdecydował, że jeśli jeździły tędy chłopskie wozy lub ciągniki, to i on się przedostanie swoim fiatem 125p. Wiatr trochę osuszył ziemię, da się przejechać bez obawy ugrzęźnięcia.

Wieś była duża i jakby nietypowa. Obok skromnych, starych chałup wyrosły piętrowe domy, stylizowane ni to na góralskie, ni to na całkiem egzotyczne w tym miejscu – jakieś pomieszanie stylów, wydumane ozdoby, zwisające wielkie okapy. Byłoby to zabawne, gdyby nie było tak brzydkie. Zdziwiony, przyglądał się tym okazom architektury i próbował zrozumieć, skąd się wzięły i po co. Przy niektórych dostrzegł wyraźną krzątaninę gospodarzy: zamiatali zeszloroczne śmieci w ogródkach, malowali ściany, ktoś wyniósł przed dom materace i trzepał z dużą energią.

Po chwili zorientował się, że jego samochód obserwowany jest z zainteresowaniem przez mieszkańców wioski. Przystawali, osłaniając oczy pod słońce, wydawało się nawet, że czekają, aż się zatrzyma. I nagle Ryszard zrozumiał: to była wieś, czekająca na turystów. To dla nich pobudowano te okropne pseudowille, dla nich szykowano noclegi. Był koniec kwietnia, jeszcze dwa, trzy tygodnie i zjawią się „letnicy”. Oczywiście, atrakcją jest z pewnością jezioro i las.

– Przykro mi, ale ja nic nie wynajmę – mruknął. Dodał gazu, minął ostatnią chałupę i jechał wzdłuż jeziora. Brzeg miało obrośnięty szuwarami, po drugiej stronie dostrzegł jakby przystań, drewniane pomosty i paliki, przy jednym kołysała się łódka.

Poprzez szum silnika usłyszał głośnie stukanie młota i czyjeś nawoływanie, ale nie tam, na przystani. To było gdzieś blisko, na skraju lasu. Jezioro tworzyło ostry zakręt, kiedy go minął, ujrzał rozległy plac budowy, na którym krzątało się kilku robotników. Zaciekawiony, komu to stawiają dom daleko od ludzi, przystani i sklepów, podjechał, zatrzymał wóz i wysiadł. Reporterskim okiem obejrzał plac, znał się trochę na architekturze, w każdym razie na tyle, żeby ocenić, iż postawiono tutaj piękną, dwukondygnacyjną willę. Właśnie budowa była już zakończona, robotnicy pracowali przy otwartym basenie obok domu. Dwaj układali chodnik z płyt stropowych, jeden właśnie odszedł na bok i przetrząsał kieszenie, pewnie szukając papierosa.

Ryszard pomyślał, że to okazja do nawiązania rozmowy. Zbliżył się, podsunął paczkę marlboro, trzasnął zapalniczką. Robotnik był młody, twarz miał ciemną, opaloną i zawadiacki kosmyk czarnych włosów, wystający spod czapki, zachlapanej farbą i cementem.

– Dziękuję – powiedział, przyglądając się dziennikarzowi. – Pan pewnie krewny gospodarza? Na kontrolę?

– Skądże! Tak tylko... Przejeżdżałem, zobaczyłem budowę. To będzie dom wczasowy? Robotnik uśmiechnął się szeroko.

– Pan z daleka?

– Z Warszawy.

– Aha. – Pomilczał chwilę, zaciągnął się dymem, wyjął z ust papierosa i obejrzał. – Jeszcze takich nie paliłem.

– Smakują panu?

– Niezłe. Ale ja wolę sporty. Przynajmniej czuję, że palę.

– Mieszka pan w tej wiosce? – Ryszard pokazał na dalekie domy.

Robotnik potrząsnął głową.

– Nie, ja z Koszowca. To takie miasteczko, szesnaście kilometrów stąd.

– I dojeżdża pan tak daleko? – zdziwił się dziennikarz.

– Mam motor. Zresztą, już kończymy.

– Czyj to dom?

– Pana Suwalskiego.

Ryszard zastanawiał się chwilę, jak dalej prowadzić dialog, aby nie spłoszyć rozmówcy. Chciał się czegoś więcej dowiedzieć o człowieku, nazwanym „panem Suwalskim”. W końcu spytał ostrożnie:

– To jakiś dyrektor?

– Był. Teraz na emeryturze.

– Musiał sporo odłożyć – zażartował. – Taka willa... – popatrzył, obliczył w myśli – kosztowała chyba ze trzy, cztery miliony?

– Sześć – sprostował robotnik. – On to ma z emerytury.

Spojrzeni sobie w oczy i wybuchnęli śmiechem. Dwaj inni, układający chodnik, przerwali robotę i zaintrygowani podeszli do rozmawiających. Ryszard poczęstował ich papierosami. Przsiedli na niskim murku, okalającym basen.

– To pan, panie turysta, nie wie nic o Suwalskim? – zapytał najstarszy z robotników o twarzy pomarszczonej jak zwiędłe jabłko.

– Nigdy o nim nie słyszałem. Nie szkoda płyt stropowych na chodniki?

– Szkoda. Ale jemu nie. Przywieźli płyty aż z Lublina.

– Za tydzień podobno przywiozą meble – dorzucił trzeci, chudy i wąsaty. – Chce pan zobaczyć dom w środku?

Ryszard zawahał się.

– A można? Jeżeli pan Suwalski przyjedzie niespodziewanie, byłoby mi trochę głupio...
– Teraz siedzi w domu. To trzydzieści kilometrów z okładem. W Babińcach – wymienił duże miasto.

– Tam ma dom, a tu wybudował sobie lotnisko czy jak?

Trzej robotnicy popatrzyli po sobie, roześmiali się. Najstarszy splunął na chodnik, wcisnął głębiej czapkę na czoło i powiedział:

– W mieście Suwalski ma dwanaście hektarów sadu i pałacyk, tak go nazywają z dawna. Kiedyś, jak Babińce były tylko powiatem, w pałacyku, ale to było jeszcze przed wojną, mieszkał podobno jakiś hrabia. Potem wziął to Suwalski.

– Jak to wziął?

– No, może kupił, może mu urząd podarował. Nie wiem. Suwalski był bardzo długo dyrektorem „Boredu” i podobno się zasłużył. On w mieście każdego zna.

– I nie tylko w mieście. Mówią, że w ogóle... W Warszawie też.

– W Warszawie ma mieszkanie – wtrącił młody. – Wiem, bo mi opowiadał jego kierowca. To jest też willa, tylko mniejsza, taki domek jednorodzinny z ogródkiem. Tam teraz mieszka jego syn.

– A te dwa domy nad Jeziorem Czarnym? – Chudy zgasił papierosa, starannie zdeptał w piasku. – Przecież jeszcze ma te dwa. Nie takie duże, jak ten, ale i nie takie znów małe. Latem wynajmuje znajomym, za grubą forszę. Raz tam byłem, naprawiałem dach w jednym. Nazywał je z rosyjska: „daczę”.

Ryszard słuchał oszołomiony i próbował to wszystko jakoś sobie uporządkować. Pałac z sadem, willa, dwa domy nad Czarnym, domek w Warszawie. Cóż to za facet? Raptem zerwał się z murku.

– Pokażcie mi, proszę, jak to wygląda w środku! Drzwi są otwarte?

– Tak, przecież tam jeszcze nic nie ma do ukrywania – zaśmiał się młody. – Zresztą Suwalski przyjedzie wieczorem i weźmie od nas klucze. Chodźmy.

Willa miała wysokie piwnice, parter i piętro. Zaczęli od piwnic. Była tam kotłownia centralnego ogrzewania, jakieś puste jeszcze pomieszczenia, może magazyny. Całą jedną stronę zajmowała sauna, prawie gotowa. Na parterze znajdowały się tylko dwa, ale ogromne pokoje. Jeden miał chyba osiemdziesiąt metrów kwadratowych, ściany wyłożone jasną dębową boazerią, wykończoną matowym plastlakiem „na dąb”. Sufit zdobiły jasne kasetony, klepka na podłodze również dębowa. Wskutek braku mebli pokój wydawał się jeszcze większy i przytłaczał tym ogromem.

Drugi pokój na parterze, połączony z hollem automatycznie rozsuwanymi drzwiami z modrzewiowych deszczulek, miał dla odmiany ciemny wystrój – też boazeria, klepka i kasetony, ale Ryszard nie umiał rozpoznać, z jakiego drewna, więc zapytał.

– Orzech kaukaski – odparł najstarszy robotnik. – Sprowadził dwie ciężarówki. I specjalistów z Warszawy do układania, bo się trząśł nad każdą deską. Bardzo drogie drzewo.

– Niech pan zwróci uwagę na klamki – powiedział chudy. – Są z mosiądzu. Każda po dwa i pół tysiąca.

Weszli na piętro, prowadziły tam schody z przepięknie rzeźbioną balustradą – artystycznie kuta metaloplastyka dekoracyjna. Na górze było sześć niedużych pokoi i dwie łazienki. W pokojach ściany pokryto barwnym adamaszkiem, każdy w innym kolorze. Przez całe piętro biegł korytarz, na jednym końcu urządzono podręczny barek czy bufet. Łazienki, wyłożone aż po sufit niebieskimi i różowymi kafelkami, wyglądały cukierkowo i nie pasowały do reszty.

– Kuchnię kazał zrobić w przybudówce – objaśniał najstarszy. – Żeby zapachy nie szły do pokoju. Z drugiej strony są garaże, a przy kuchni mieszkanie dla dozorczy i palacza. Jeszcze coś tam ma być, za garażami, ale my już skończyliśmy. Może potem... – umilkł, popatrzył dokoła.

Ryszard obejrzał taras i ganek z modrzewiowym daszkiem, po czym wyszli i znów usiedli obok basenu.

– Słuchajcie, kochani – zaczął, wciąż licząc i zdumiewając się coraz bardziej – przecież to się nie da... z żadnej pensji! On żonaty, tak? Więc może żona wniosła mu w posagu złoto albo hektary?

– Która żona? – spytał chudy. – Bo ta, to jest trzecia. Chyba ze dwadzieścia pięć lat młodsza od niego. A syna ma z drugiej. Pierwsza zginęła w czasie wojny. Ja mieszkam w Babińcach, tam o Suwalskim ludzie dużo wiedzą. Dużo, to nie znaczy wszystko – dodał. Wystawił twarz na słońce, które przygrzewało coraz mocniej, zakrył oczy daszkiem czapki.

– Suwalski był tu wczoraj z żoną – rzeki młody. – Ładna babka, elegancka. Jakbym miał choć dziesięć procent tej forsy, co on ma, to bym mu ją sprzątnął.

– A wiecie, że ja go niedawno widziałem w telewizji – chudy ożywił się, przesunął czapkę na tył głowy i usiadł prosto. – Jak raz leciał lokalny program i jakaś uroczystość, nie pamiętam, otwarcie domu towarowego chyba. Pokazali Suwalskiego w pierwszym rzędzie, bo potem była część artystyczna. Siedział z żoną.

Najstarszy robotnik milczał. Ryszard spojrział na niego raz i drugi, chcąc zachęcić do rozmowy, był ciekaw, dlaczego tamten się nie odzywa. Wreszcie spytał wprost:

– A pan co o nim myśli?

– Ja? – Murarz wzruszył ramionami, nachmurzył się. – Ją myślę, że my tu gadamy, a robota stoi. Ciekaw pan Suwalskiego, to przejeżdż pan się do miasta, porozmawiaj z nim... Chodź, Staszek! – Skinął na młodego, podnieśli się z murku.

Kiedy odchodzili, Ryszard usłyszał, jak mówi cicho, zirytowanym głosem:

– Cholera, mielesz ozorem, jakby cię kto nakręcił, skąd wiesz, czy to nie jaki krewny starego? Powtórz mi, coś powiedział o jego babie, i wylecisz z roboty. Gdzie tyle zarobisz co tu?

Wąsaty uśmiechnął się drwiąco.

– Franek się boi – mruknął. – Tym dwóm zależy na robocie u Suwalskiego, bo on dobrze płaci. W zeszłym miesiącu wyciągnęliśmy każdy po czternaście. Ja nawet trochę więcej.

– Czternaście tysięcy? Fiu, to niewąsko zarobiliście! I panu nie zależy na tej robocie? Bo powiedział pan, że „tym dwóm”...

– Ja mam dość – odparł chudy, dźwigając się z twardego siedzenia. Na takich fachowców, jak ja, robota czeka i prosi. Zresztą... – splunął, wziął podanego mu papierosa, zapalił. – Obrzydła mi jego gęba, wie pan? Za dużo widzę, a myśleć też umiem. Obrzydło mi – powtórzył, zapatrzył się gdzieś daleko. – To wszystko jest nie tak.

– A jak powinno być?

Robotnik spojrział dziennikarzowi prosto w oczy.

– Jedź pan już – powiedział szorstko. – Od wyjaśniania jest gazeta, radio, telewizja. No, do widzenia.

Odwrócił się, popatrzył na zegarek i przyśpieszył kroku. Po chwili znikł za rogiem domu.

Ryszard posiedział jeszcze chwilę, utrwalając w pamięci obraz pięknej willi, w której niedługo zamieszkać miał były dyrektor „Boredu”. Już wiedział, że mu ta sprawa nie da spokoju, dopóki jej nie rozwiąże. Przynajmniej na swój dziennikarski użytek. Znał w Babińcach parę osób i postanowił teraz odnowić te znajomości. Musi dowiedzieć się o Suwalskim o wiele więcej niż w tej krótkiej rozmowie.

Jednakże znajomi zawiedli. Kiedy pod wieczór znalazł się w Babińcach, odwiedził jednego, potem drugiego – trzeci był za granicą. Dawny kumpel ze studiów, też dziennikarz, ale z miejscowej prasy, kiedy usłyszał, o kogo chodzi, wzruszył ramionami.

– Stary, na co ci to? Suwalski to emeryt. Był podobno dobrym dyrektorem, mnie tu wtedy jeszcze nie było. A że buduje willę? Nie on jeden.

Drugi znajomy położył palec na ustach.

– Cyt! Nie narażaj się, chłopie. Ani mnie. Suwalski, to wysoka figura. Nie ugryziesz go. I nie próbuj, radzę ci. W każdym razie ode mnie nic nie wyciągniesz.

Rozdział 1

Biały fiat 132 podjechał cicho przed dom, kierowca zahamował, wysiadł z wozu i z zainteresowaniem przyjrzał się willi. W szeroko otwartych oknach na parterze świeciło się, dolatywał stamtąd gwar głosów, pobrzękiwanie szkła i śmiechy. Na piętrze jasne było tylko jedno okno, ale tam panowała cisza.

Przybyły postął chwilę przy samochodzie, obserwując i nadsluchując, popatrzył w ciche okno i uśmiechnął się przelotnie. Wiedział, a może tylko domyślał się, kto z kim mógł zaszyć się w cichym tête-à-tête. Zresztą mało go to obchodziło. Spróbował rozróżnić głosy, dobiegające z ogromnego pokoju na parterze.

– Jacek, oczywiście – mruknął do siebie. – Waldemar... i chyba rudy Piotrek z Krakowa.

Zaciekawiło go, że nie słychać kobiecych głosów. Czyżby zabawa wyłącznie w męskim gronie? Chyba, że niektóre pary pochowały się już na górze. Kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności, dostrzegł samochody zaparkowane gdzie się dało; miały rejestracje z różnych miast, jedną z Holandii. Zamknął swego fiata, schował kluczyki i zadzwonił do drzwi frontowych. Otworzyły się niemal natychmiast, widocznie ktoś w domu zauważył przybysza. Wysoki mężczyzna w koszuli, rozpiętej do pasa, i jasnych flanelowych spodniach, stanął na progu. Twarz miał zaczerwienioną, wzrok trochę niewyraźny.

– Jak się masz, Waldek – powiedział przybyły z rozbawieniem. – Widzę, że nie czekaliście na mnie.

– To ty, Stefan? – Wysoki chwiał się na nogach, ale próbował zachować równowagę. – Czego stoisz, wąż!

Kierowca białego fiata minął go, klepiąc przyjaźnie po ramieniu i wszedł do hollu, który rozdzielał dwa wielkie pokoje. Goście siedzieli po prawej stronie w „myśliwskim”, po lewej był salon. Przybysz skierował się na prawo. Powitał go gromki okrzyk, kilka par rąk uniosło w górę kieliszki.

– Czemu tak późno? Miałeś krakę? Nie mogłeś trafić? – posypały się pytania, na które nawet nie próbował odpowiedzieć, a i tamci nie czekali na odpowiedź. Z głębokiego fotela, krytego czarną skórą dzwignął się szczupły brunet, wzrostu mniej niż średniego. Miał włosy gładko uczesane, oblepiające czaszkę niczym hełm, nos prosty, cienki, wargi pełne. Lekko wysunięty podbródek i ostre spojrzenie piwnych oczu znamionowały upór, jakąś władczość, chęć przewodzenia. Odstawił kieliszek na stół i podszedł do spóźnionego gościa, mówiąc:

– Cześć, Stefan! Witaj w chałupie mojego starego, a właściwie to i mojej. Nasz najnowszy nabytek, dlatego, widzisz, oblewamy. Chlapij sobie, potem pokażę ci dom. Co ci nalać?

Stefan Mrowiec popatrzył krytycznym okiem na długą baterię butelek, ustawionych w szeregu na stoliku barowym. Stolik miał kółka, gospodarz przyciągnął go bliżej i wyliczał, wskazując palcem:

– Scotch Whisky Black and White, White Horse, seta Pipers, Vat sześćdziesiątka dziewiątka, Beefeater Dry Gin. Może wolisz zacząć od koniaku? Salignac V.S.O.P., Armagnac de Lord, Jules Robin, Croiset, Frappier, Remy Martin...

No? Może coś opuściłem – zatroszczył się, przyglądając butelkom.

– Daj mi King Robert II, to dobra whisky. I coś na ząb, bo zgłodniałem przez drogę.
– Ależ oczywiście, częstuj się. Tu są kanapki z jakimś ścierwem, świeże, Jolka sama robiła. A tu sałatka. I jajeczka w majonezie. Bierz, czego dusza zapagnie.

Mrowiec wybrał sobie kilka kanapek, dołożył sałatki, wsadził na wierzch pikle i parę grzybków w occie, uzupełnił wszystko jajkiem i usiadł z boku, aby zaspokoić pierwszy głód. Nie mieszał się do rozmowy. Trzy osoby znał, dwie były mu obce. Cudzoziemiec, pewnie właściciel wozu z holenderską rejestracją, bardzo wysoki, szczupły blondyn w okularach, ostrzyżony na jeża, rozmawiał po niemiecku z Waldemarem Kosańskim. Drugi obcy – niedużego wzrostu tłuścioch, trochę łysawy, z brodą wijącą mu się aż do połowy piersi – pożerał w skupieniu wielką porcję tortu. Pod oknem siedział samotnie „rudy z Krakowa”, czyli Piotr Holden. Jego blada twarz o skórze tak cienkiej, że zdawało się – pęknie przy najmniejszym ruchu mięśni, okolona gęstymi rudymi włosami, spływającymi w puklach na ramiona i plecy, twarz o na wpół przymkniętych oczach i rozchylonych bezkrwistych wargach na pierwszy rzut oka wyglądała jak martwa.

Mrowiec nie przestraszył się, ani nie zdziwił. Wiedział, że Holden co pewien czas odwożony jest przez rodziców do sanatorium. Że nie wolno mu pić ani palić, ale że robi jedno i drugie. Szpikowany lekarskami, podlecany, wracał do swoich różnych nałogów z taką samą obojętnością, z jaką poddawał się kuracji. Poza leczeniem i nałogami nie robił nic, bo nie chciał. Kiedyś malował, trochę udzielał się w studenckim teatrze, trochę śpiewał. Później robienie czegokolwiek budziło w nim wstręt. Siedział teraz nieruchomo, sączył z kieliszka koniak i milczał.

– Zjadłeś? – zbudził Mrowca głos pana domu. – To chodź, pokażę ci chałupę. – Ten pokój – zatoczył ręką dokoła – stary nazwał myśliwskim, chociaż jeszcze żaden myśliwy w nim nie siedział. Ale to nieważne. Popatrz na te rogi. Kupione, rzecz jasna. Dwa jelenie, dwa... raczej dwie łopaty łosia, łeb odyńca, skóra niedźwiedzia, stary mówi wszystkim, że to był tatrzański niedźwiedź, ale tobie mogę powiedzieć, że kupiony w Berlinie. Nie zdziwiłbym się, gdyby był z jakiegoś sztucznego tworzywa.

– Zwariowałeś? – roześmiał się Mrowiec. – Przecież ma łeb.

– Nie takie łby dzisiaj robią. Najlepsze to tu są fotele. Prawdziwa skóra, angielskie „kluby”, można w nich spać. Stół jest dębowy, jak widzisz na krzyżakach, cholernie ciężki. Cały wystrój ścian, podłoga i kasetony z orzecha kaukaskiego. Wiesz, ile nas kosztował ten jeden pokój? – Pochylił mu się do ucha, oddech miał przesycony alkoholem. – Ten pokój to sześćset pięćdziesiąt tysięcy. Z dywanem, oczywiście. Idziemy dalej!

Minęli holl i weszli do salonu. Mrowiec przystanął w progu, olśniony blaskiem bijącym z kryształowego żyrandola, zwisającego z sufitu niczym ogromny pajak. Światła lamp odbijały się w dwóch lustrach, zawieszonych na przeciwległych ścianach, wszystko tu błyszczało i grało kolorami tęczy.

Ten pokój również ozdobiony był kasetonami i boazerią, ale w jasnych barwach. W jednym rogu stał długi mahoniowy stół, przy nim kanapa i osiem foteli, krytych złocistym brokatem. Na kominku z imitacji czarnego marmuru – chińska waza, bardzo kolorowa, a obok niej stary zegar mahoniowy z czterema kolumnkami, nakryty szkłem. Na ścianach wisiało kilka obrazów. Mrowiec nie znał się na malarstwie, wydawały mu się ładne. Dostrzegł jeszcze jeden stolik z trzema fotelami, dwie palmy w wielkich donicach, brokatowe ciężkie zasłony przy otwartych oknach. Patrzył przez chwilę na ten niecodzienny widok, w końcu rzekł:

– Słuchaj, to jest wspaniałe! Nie przypuszczałem, że twój ojciec potrafi tak pięknie urządzić mieszkanie.

Jacek Suwalski roześmiał się na całe gardło.

– Stary nie ma pojęcia o sztuce i tych rzeczach! Po prostu zamówił plastyka i paru architektów. Jak zapłacisz, to masz. Podoba ci się?

– Pierwsza klasa! Można by tu zabawić się na Sylwestra. Co? Jak myślisz?
– Nie wiem. Może ojciec zaprosi swoich kumpli. Chcesz iść na górę? Tam jest sześc sypialni i dwie łazienki. Albo idź sam, bo ja muszę wracać do gości. Waldek zalał się, może co potłuc i stary będzie potem krzyczał.
– Boisz się ojca?
– Nie to. Ale może mi urwać z pensji... Co się śmiejesz? On to nazywa pensją. Daje mi miesięcznie trzydzieści „patyków”, a potrafi się handryczyć o dwa złote. Ja mu trochę pomagam... – urwał. – No, dobra. Czuj się, jak u siebie. Wy też macie ładną chatę – pochwalił, widząc zazdrość w oczach Stefana. – Te wasze meble, zrobione na antyki, musiały niewąsko kosztować, co?
– Owszem – przyznał Mrowiec z uśmiechem. – Matka wpierw nie chciała, bo dom jest w stylu góralskim, to teraz modne, ale ojciec się uparł, że jeden pokój musi być z antykami. O prawdziwe trudno, więc zrobili nam jesionowe meble, kryte niebieską morą, na wzór belwederskich z czasów księcia Konstantego i Księżny Łowickiej.

– Piękny komplet. Ile kosztował?
– Trochę ponad czterysta tysięcy.
Wrócili do pokoju myśliwskiego. Kosański na ich widok próbował podnieść się z fotela, ale stracił równowagę i zwałił się na stół z zastawą, twarzą prosto w sałatkę. Holender spał, hałas nie przebudził go. Rudy Piotr otworzył oczy, lekki uśmiech przesunął mu się po wargach. Suwalski poczerwieniał z gniewu, zastawa to był autentyczny rosenthal, kosztowała majątek. Podszedł, chwycił Kosańskiego z tyłu za kołnierz koszuli, poderwał go brutalnie i syknął:

– Ścierwo! Schlałeś się, to idź spać, ale nie rozwalaj mi półmisków.
– Przepra... nic nie zbiłem... ja ci zapłacę – stękał Waldemar, szukając niemrawo czegoś, czym dałoby się wytrzeć twarz.

– Idź na górę, słyszysz? Umyj się. I nie pokazuj mi się na oczy, bo mordę skuję!
Popchnął go w stronę drzwi, przez chwilę słuchał kroków na schodach, potem uspokojony siadł w fotelu. Mrowiec patrzył na niego z uwagą. Zastanowił go ostry, zimny błysk w oczach Suwalskiego, kiedy ogarnął go gniew. Pomyślał, że byłoby niebezpiecznie mieć w nim wroga. Znał dotychczas Jacka z innej strony, lubił go nawet, mieli ze sobą wiele wspólnego. Urodzili się, wyrastali i żyli w podobnych warunkach. Ojciec Jacka, Artur Suwalski, przez długie lata dyrektor dużego przedsiębiorstwa, stworzył synowi życie bogate i bez kłopotów. Zmusił go co prawda, aby ukończył wyższe studia, potem jednak nie wymagał żadnej pracy.

Rodzice Mrowca należeli do tego samego środowiska. Ojciec był agentem w gastronomii, podlegało mu kilka dużych i kilkanaście małych lokali, cocktail-barków, kiosków z hamburgerami i piwem. Pani Mrowiec sumiennie wydawała sporą część zarobków na własne potrzeby, a dwoje dzieci – syn i córka – miało właściwie wszystko, co starzy mogli im dać. Stefan po maturze, którą zrobił z trudem i przy pomocy kilku korepetytorów, zaczął studiować archeologię, ale szło mu opornie i w wieku dwudziestu pięciu lat był dopiero na drugim roku. Jego młodsza siostra Karina zdążyła wyjść za mąż, rozejść się, spróbować samobójstwa i spowodować wypadek samochodowy. Teraz, pod koniec sierpnia, przebywała z matką we Włoszech.

W trochę innych warunkach chował się Kosański. Pochodził z okolic Nowego Targu, a jego ojciec dorobił się majątku na seryjnej produkcji kozuchów. Były to miliony, które ulokował w paru warsztatach stolarskich, kiedy „lewym kozusznikom” ziemia zaczęła palić się pod nogami. Wprawdzie Antoni Kosański wywinął się z tego gładko, wołał jednak dalej nie ryzykować. Z każdego warsztatu wyciągał dzisiaj około pięćdziesięciu tysięcy miesięcznie, na czysto, po opłaceniu pracowników. Waldemar zarejestrowany był w którymś jako stolarz meblowy, choć zaledwie umiał jako tako zheblować deskę. Trzeba było jednak

coś zrobić z jedynakiem, który do nauki nie miał głowy. Ale kiedy po pijanemu rozwalił młotkiem cenny mebel, ojciec wyrzucił go z warsztatu. Wolał dawać synowi wysokie uposażenie bez roboty, niż żeby ją psuł.

Z jeszcze innej kategorii zawodowej rekrutował się Holden. Miał ojca – profesora nauk medycznych, bardzo wziętego, zwłaszcza wśród prywatnych pacjentów. Jedna wizyta kosztowała wprawdzie tysiąc trzysta złotych, ale ci ludzie mogli sobie na nią pozwolić. Byli w Krakowie lekarze, którzy niejednokrotnie poddawali w wątpliwość stosunek umiejętności pana profesora do ceny, jaką przychodziło za nie płacić. Kiedy dochodziły do niego te głosy, odpowiadał, że kieruje nimi zwykła zazdrość zawodowa. Zresztą, dodawał, nikt nie musi przychodzić prywatnie do jego gabinetu; jest przecież ubezpieczenie społeczne.

Mrowiec rozejrzał się po twarzach, a potem przysiadł obok Suwalskiego i spytał, kim właściwie są ci dwaj goście: tłusty z brodą i obcokrajowiec. Lubił wiedzieć, z kim pije.

– Holender, ten wysoki, jest pośrednikiem handlowym firmy... firmy, czekaj, bo zapomniałem... Mniejsza o to. W każdym razie utrzymuje kontakty z naszym handlem zagranicznym, a taka znajomość zawsze może się przydać. Ma na imię Axel, nazwiska nie pamiętam. Gdzieś schowałem jego wizytówkę.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI